

Bajki Polskie

C H R I S T O P H E R N U I N

Bajki Polskie

C H R I S T O P H E R N U I N



KRZYSZTOF FISZER

Tytuł: Bajki Polskie

Autor: Christopher Nuin

Oprawa graficzna: Christopher Nuin

2024 © Krzysztof Fiszer / Christopher Nuin
Wszelkie prawa zastrzeżone.

Drugie wydanie, ISBN 978-83-969937-4-8
Gdańsk, 28 maja 2024 r.

Wydawca:
Krzysztof Fiszer
www.christophernuin.online



Trzęsie, trzęsie, trzęsie nogą.
Czy to miłość, czy to żart?
Trzęsie, trzęsie, trzęsie nogą.
To nie miłość, to psi gwałt!
Do twoich butów sika, śpi pod stołem.
Nie wchodzi do środka, bo pies zły.
Na suchą karmę wiecznie kręci nosem.
Do kielbasy szczyrzy kły.

Pies na gwałt to nie zabawka,
To poskramiacz zgrabnych nóg.
Pies na gwałt to nie kochanek,
Tylko nasz publiczny wróg.

On sika, sika, sika w domu.
Co za śmierdziel! Co za pchlarz!
Twój tyłek wacha ciągle po kryjomu.
Co za zboczeniec! Podły pchlarz!
Do sąsiadów biega ruchać sukę.
Zostawia ślady, zbiera pchły.
Na Wigilię mówi ludzkim głosem
Ironicznie szczyrząc kły.

Jaki smród! To nie ode mnie.
To się właśnie zbączył pies.
Łajna w bród! To nie ode mnie,
Bo tu właśnie nasrał pies!

Pies na gwałt to nie zabawka.
To poskramiacz zgrabnych nóg.
Pies na gwałt to nie kochanek,
Tylko nasz publiczny wróg.

Pies na gwałt trzęsie nogą.
Trzęsie nogą, że hej!
Pies na gwałt trzęsie nogą.
Trzęsie nogą.
Trzęsie nogą, że hej!



Dobij

14 lutego 2020 r.

Słowem, którego szukam jest *patologia*.
To z niej utkana jest moja historia.
Twarz mi obje.
Nogi przetrąci.
Zwiąże nadgarstki.
Połamie nos.

I nie chce mi się żyć na tym świecie.
Już siły nie mam zмагаć się z dniem.
Depresja w słońcu, płacz w toalecie.
Pozostanie po mnie tylko mój cień.
Więc dobij mnie.
Dobij mnie.
Dobij.
TYLKO NIE MŁOTKIEM!

Słowem, którego unikasz jest *agonia*.
To z niej spleciona jest moja pięść.
Twarz ci obję.
Nogi przetrączę.
Związę nadgarstki.
Połamię nos.

Odechce ci się żyć na tym świecie.
Siły pozbawię na zmaganie się z dniem.
Depresja w słońcu, płacz w toalecie.
Pozostanie po tobie tylko twój cień.
I wołać będziesz.
Dobij mnie.
Dobij mnie.
Dobij mnie.
Dobij.
TYLKO NIE MŁOTKIEM!



Letnie słońce grzało tak mocno.
Ta kula białego ognia.
Me młode stopy grzały tak mocno
Ziemia, asfalt i beton.
Mą dziecięcą głowę, moją twarz i ramiona.

Jasne niebo tamtego dnia niczego nie niosło.
Ni wiatru, ni chmury, ni łez.
Schnąca trawa bledła, zieleniały dzikie zarośla.
Nie spadł tego lata deszcz.
Na dziecięcą głowę mą, na twarz i ramiona.

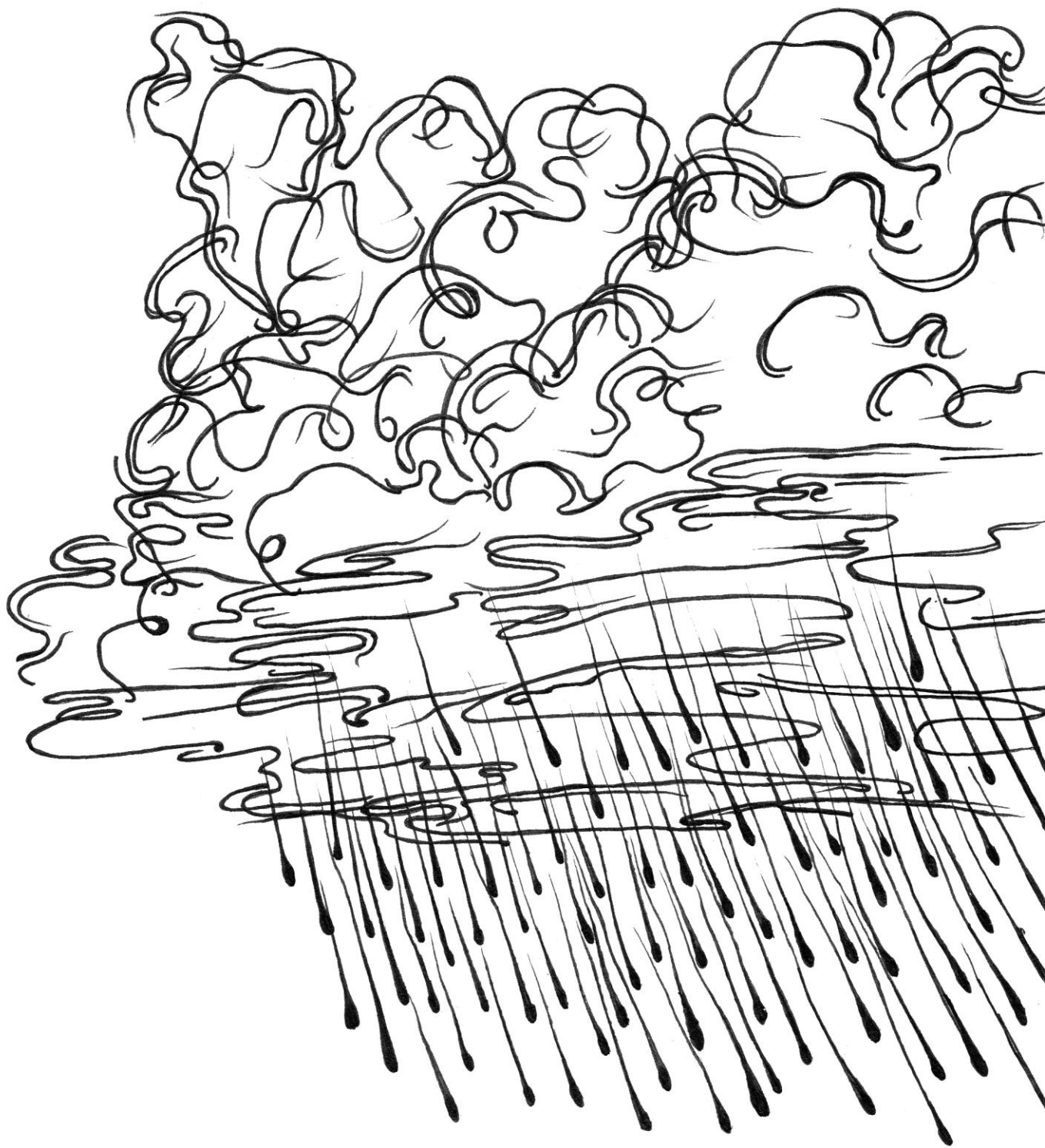
Bieda ścisnęła gardło od lat.
Kran zamarzał w zimę na lód.
Prądu brakło, co raz, co raz.
Nic, tylko nasz smutek i chłód.

Znalazłem jajko i mówili, że to zbuk.
Ja i tak je wziąłem.
Do kieszeni schowałem.
Rozgrzane jajko, a w nim podły smród.
Lecz moje to było jajko, tylko moje.

W końcu się ono w kieszeni otwarło.
Wylała się z niego zawartość i swąd.
Zawiedziony byłem i smutny,
Bo łudziłem się, że to nie był zbuk.

Letnie słońce grzało tak mocno.
Ta kula białego ognia.
Me młode ciało grzały tak mocno
Rydwanu złotego płomienie.
Mą naiwną głowę, moją twarz smutną i dłonie.
Tak do tej pory mi zostało.
Chcę widzieć w zepsuciu rzeczy całe i piękne.
Tak do tej pory mi zostało.
Naiwność dziecka, żar gorejącego słońca.

To letnie słońce grzało tak mocno.
To letnie słońce grzało.



Burza

18 lutego 2020 r.

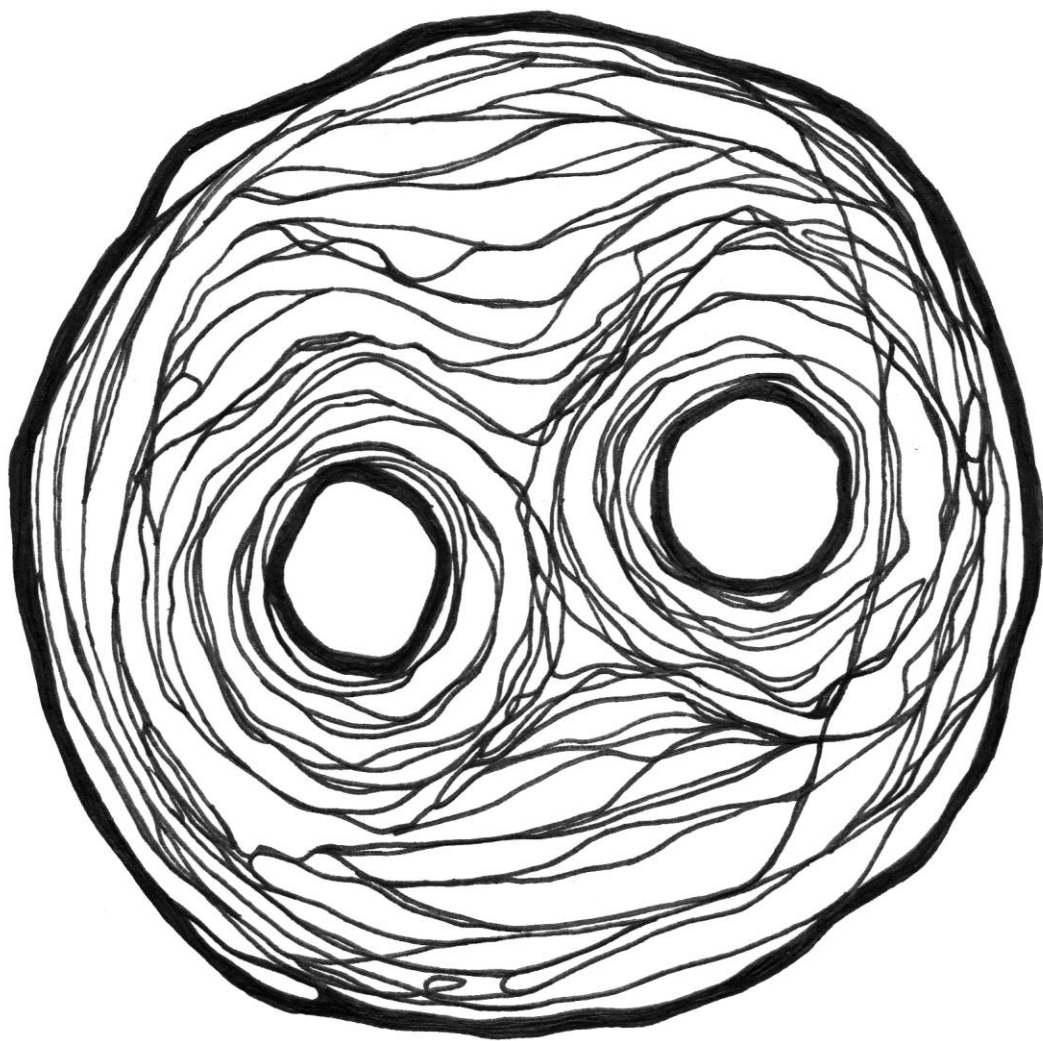
Pogasły światła, choć dzień jeszcze nie minął.
Wszelka elektryczność w wiosce zanikła.
Zniżyły lot ptaki, lecz żaden z nich nie zginął.
Szarża wiatru z południa zupełnie ucichła.

Burza już nadciąga, więc zamknij swe okienko.
Burza już nadciąga, więc chowaj się panienko.
W deszczu już się nie tańczy.
Nie łapie się strug letniej tęczy.
To burza już nadciąga.
Zapal białe świecezki.
Módl się do Mateczki.

Pyłem i suchą ziemią miało przez dzień cały.
Żar lał się na nas z nieba nieustannie.
Ptaki latały wyżej i wyżej, aż z oczu nam znikwały.
Powietrzem falowało tak starannie.

Burza już nadciąga, więc zamknij swe okienko.
Burza już nadciąga, więc chowaj się panienko.
W deszczu już się nie tańczy.
Nie łapie się strug letniej tęczy.
To burza już nadciąga.
Zapal białe świecezki.
Módl się do Mateczki.

Ściana deszczu sunie ku naszej małej wiosce.
I czeka na nią ziemia, tak, jak my na wiosnę.
Burza ciągnie nad lasem i szumią drzew korony.
Przyjdź tu do nas deszczu, przybądź w nasze strony.



Guziki

21 lutego 2020 r.

Bawiliśmy się kiedyś na dywanie we troje.
W naszym pokoju, gdzie spaliśmy we troje.
Mały pokój, mały świat.
Ogrom naszej wyobraźni.
Kilka wiosen, kilka lat.
Autostrada wyobraźni.

Pudełko drewniane, wieczka malowane.
Dwie szufladki po lewej stronie
I dwie po stronie prawej.
Pudełko drewniane, szufladki obracane.
Wypełnione po brzeg guzikami.
Związane naszymi marzeniami.

Bawiliśmy się kiedyś guzikami we troje.
Wy mieliście swoje i ja miałem moje.
Mały parking, wyjazd, wjazd.
Zbudowane guzikami.
Tutaj zakręt, a tu zjazd.
Wyłożone guzikami.

Pudełko drewniane, wieczka malowane.
Dwie szufladki po lewej stronie
I dwie po stronie prawej.
Pudełko drewniane, szufladki obracane.
Wypełnione po brzeg guzikami.
Związane naszymi marzeniami.
Dziecięcymi marzeniami.



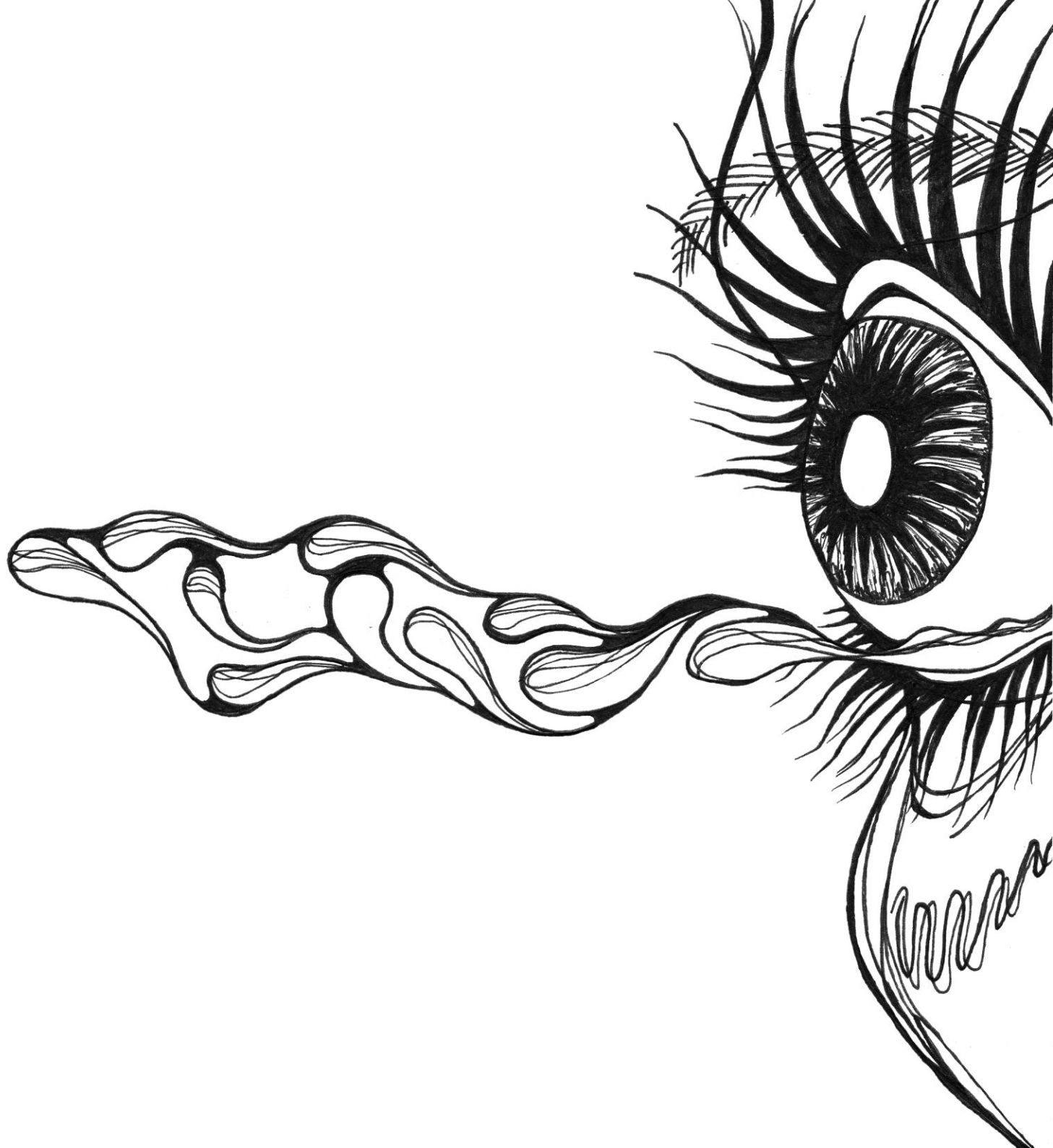
Ubranie przemokło, gdy śnieg stopniał od ciepła mego ciała.
Choć zima nie szczędziła mrozu i policzki nam szczypała.
Śmialiśmy się jak szaleni. Jak szaleni pędziliśmy w śnieg.
I chcieliśmy więcej, więcej zimy. Wciąż chcieliśmy biec.

Nie ma już takich zim, co kiedyś.
Nie ma już takich nocy i dni.
Nie ma już zasp ze złota białego.
Nie ma naszych zimowych dni.

Śnieżne bałwany rosły dzięki szczęściu dziecięcych serc naszych.
A zima nie szczędziła nam bieli, tworzyła zaspę aż po pachy.
Kładliśmy się w nich co raz, co raz, skąpani w śnieżnej bieli.
Pozostawialiśmy po sobie ślady, co wyglądały jak biali anieli.

Nie ma już takich mrozów co kiedyś.
Nie ma już białych nocy i dni.
Nie ma zamieci ze złota białego.
Nie ma naszych zimowych dni.

Nie skrzy się już biała powłoka.
Nie ma tych nocy, nie ma tych dni.
Nie ma obłoków pary z ust naszych.
Nie ma naszych zimowych dni.



Smutek

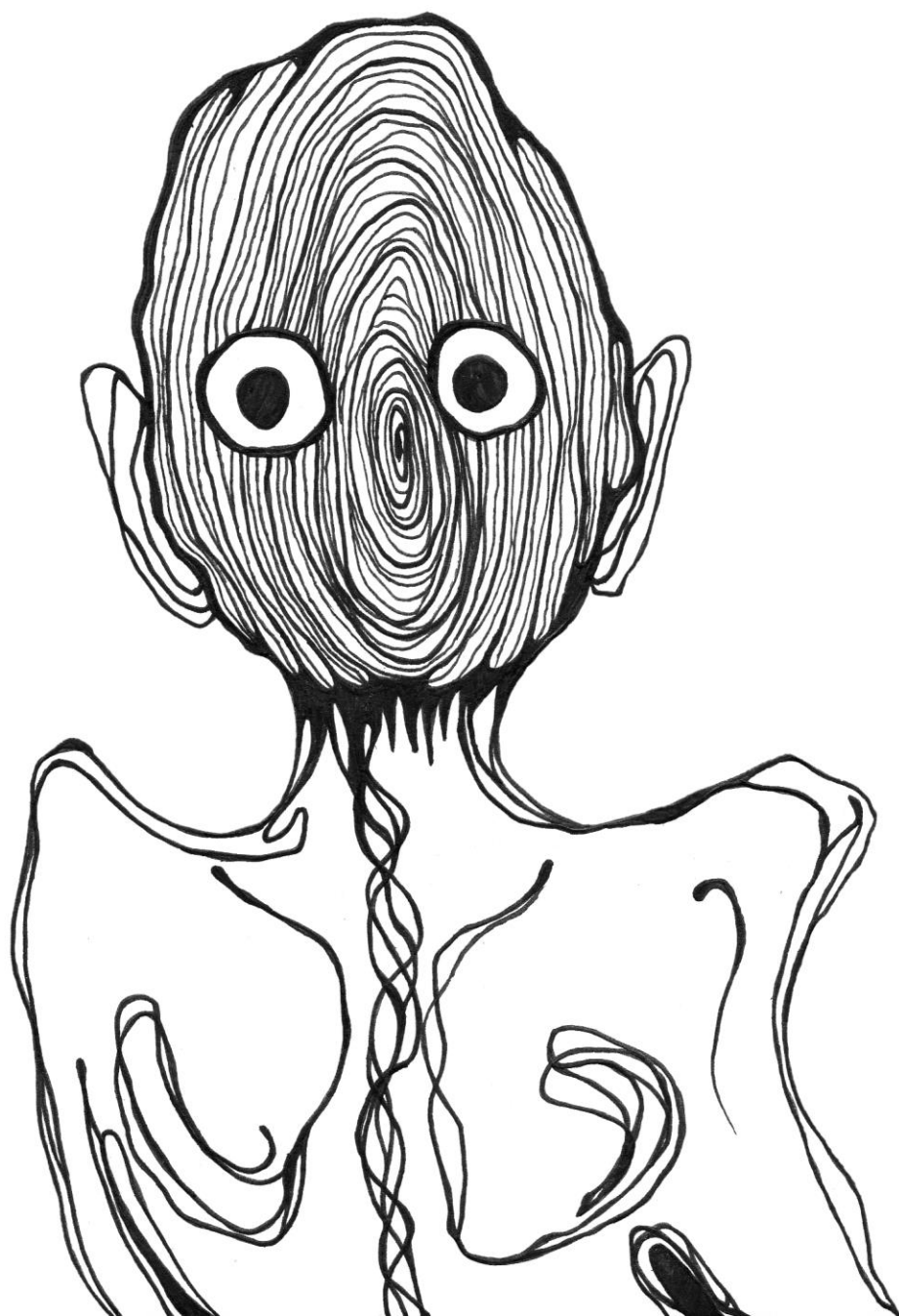
15 czerwca 2020 r.

Znów stoisz przy oknie, spoglądasz na świat mały.
Bez ustanku szukasz wzrokiem znajomych twarzy.
Znów stoisz przy oknie, spoglądasz przez firany.
Nieustannie wyglądasz leku na twe świeże rany.
Oczy otwarte szeroko bez spoczynku szukają
Sposobu, aby uciec tam, gdzie cię nie znają.

Nie stać cię na nic, nawet na szczere łzy.
Bo za kim miałbyś płakać? Po co ronić łzy?
Nie masz niczego swojego.
Nie masz łóżka. Nie masz domu.
Nie masz niczego swojego.
Nie masz życia. Nie ufasz nikomu.
Nadal masz się za nic i śniesz czarne sny.
Kto miałby za tobą płakać? Po co ronić łzy?

Znów stoisz przy oknie, spoglądasz na świat mały.
Łudzisz się na zmianę losu, by szare dni ustały.
Znów stoisz przy oknie, spoglądasz przez firany.
Chcesz wyjść i chcesz zostać, tak niestabilne stany.
Oczy otwarte szeroko bez spoczynku szukają
Sposobu, aby uciec tam, gdzie cię nie znają.

Nie stać cię na nic, nawet na szczere łzy.
Bo za kim miałbyś płakać? Po co ronić łzy?
Nie masz niczego swojego.
Nie masz pasji. Nie masz duszy.
Nie masz niczego swojego.
Nie masz serca, co łzy poruszy.
Nadal masz się za nic i śniesz czarne sny.
Kto miałby za tobą płakać? Po co ronić łzy?



Za plecami

27 lipca 2020 r.

Nasz świat cały pokrył kurz wczorajszych dni.
Niebываły był to widok dla mych oczu.
Niezwyczajny był to smak dla twoich ust.
Krople deszczu z niechęcią mnie muskały,
Gdy przegrane były szanse naszych żyć.
Na wieki wieków, amen i kaplica.
Na wieki wieków, amen.

Za plecami twymi wieś zorana głupotą.
Za plecami mymi przeszłość cicho ginie.
Wichry wczorajszego lata nikną w nowym słońcu.
Mróz dawnych zim świeżą wiosną spłynie.
Raz, dwa, trzy, raz, dwa, trzy.
Baba Jaga już na nas nie patrzy.
Cztery, cztery, cztery, cztery.
Wyzdychały renifery.
Pięć, sześć, siedem, pięć, sześć, siedem.
Chowa się wielu, szuka tylko jeden.
Tylko ten jeden.
Raz jeden.



Nie śnij dzień cały w aksamitnej niepewności.
Zetrzyj z liści gruszy barwy nieśmiałości.
Zmienne pory roku mieszają swe zalety.
Ze ścian tekturowych znikają wciąż portrety.
Dziadów i bab zmarłych w latach niknących.
Aniołów i diabłów przeciwko nam knujących.
Wyłóż czarne karty na dźwięczące blaty.
Przesuń białe złoto pod hebanowe stoły.
Zakończ swą pielgrzymkę stuletnią.
Zakwitnij jak paproć w noc letnią.

Wielkie cuda, gwiazdne dziwy.
Rozpalają liche serca, przegrzewają krew.
Karle widma, pogańskie dziwy.
Spopielają słabe serca, zamrażają krew.
Dusza wycieka wszystkimi żyłami.
Taka wątpliwa.
Taka chwiejna.
Miłość kruszeje, zmęczona ciosami.
Taka wątpliwa.
Taka chwiejna.
Taka chwiejna.

Wybuduj sobie dom z gruzów dawnych wojen.
Przemij twarz pomarszczoną znojem.
Pędzące nogi przeganiają czas zegarów.
Odbierają nam ciężar młodych darów.
Piękno, naiwność, żądza i arogancja.
To naszej generacji zawistna reputacja.
Wyłóż czarne karty na dźwięczące blaty.
Przesuń białe złoto pod hebanowe stoły.
Zakończ swą pielgrzymkę stuletnią.
Zakwitnij jak paproć w noc letnią.
Wielkie cuda, gwiazdne dziwy.
Rozpalają liche serca, przegrzewają krew.
Karle widma, pogańskie dziwy.
Spopielają słabe serca, zamrażają krew.
Dusza wycieka wszystkimi żyłami.
Taka wątpliwa.
Taka chwiejna.
Miłość kruszeje, zmęczona ciosami.
Taka wątpliwa.
Taka chwiejna.
Taka chwiejna.



Ostatnimi czasy moje usta odmawiają rzewne klątwy.
Nie tylko z żądz zemsty, co z ludzkiej powinności.
Bo jaki to ma sens, jaki plan, jaki cel,
Gdy jeden płacze z bólu, a drugi z przyjemności?
Ktoś musi stanąć im na drodze.
Ktoś musi wyrównać poziomy kontrastu,
By wszystko stało się byle jakie.
Bez zachodu słońca, bez pięknego brzasku.

Zobaczymy się w piekle, mój drogi przyjacielu.
Widzimy się po drugiej stronie, gdzie czeka na nas wielu
Morderców, podłych kłamców, pozornie prostych ludzi.
Do zobaczenia w piekle, mój drogi przyjacielu.
Przytrzymam ci czarne drzwi, bo życie masz już z głowy.
Więc wybierz sobie widły, zakładaj już podkowy.

Przez ostatnie milenium, trzysta lat i trzy dekady
Zaszałałeś i stworzyłeś kurewskie układy.
Tu brałeś, tam dawałeś, tutaj kradłeś, tam sprzedawałeś.
Taki balans boskiej racji, małej trumny i kremacji.
Wszystko to, co kiedyś miałeś, już przegrałeś.

Tam, gdzie sam diabeł nawet baby nie pośle.
Tam, dokąd palona kukła wiosenna odpływa.
Pojeźdź tam kiedyś na zniewolonym ośle.
Pozwiedzaj martwe cuda, co spadły nam z nieba.

Zobaczymy się w piekle, mój drogi przyjacielu.
Widzimy się po drugiej stronie, gdzie czeka na nas wielu
Morderców, podłych kłamców, pozornie prostych ludzi.
Do zobaczenia w piekle, mój drogi przyjacielu.
Przytrzymam ci czarne drzwi, bo życie masz już z głowy.
Więc wybierz sobie widły, zakładaj już podkowy.

ISBN 978-83-969937-4-8



9 788396 993748